Rok XXXIII Warszawa, d. 13 Kwietnia 1912 r. Nr 15

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

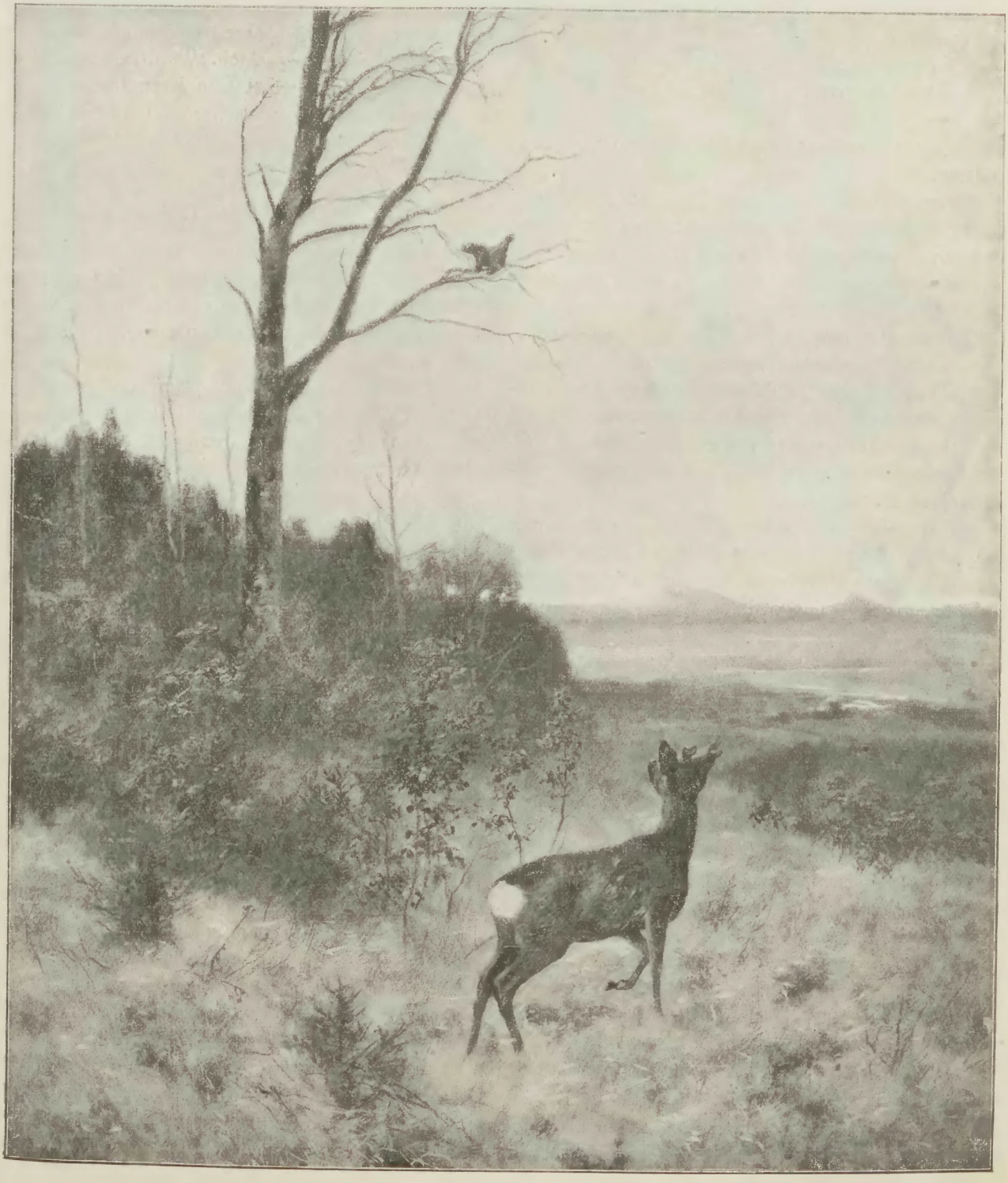

WIOSENNY PORANEK.

Sprzymierzeńcy.

POWIEŚĆ Z ROKU 1812.

(Ciąg dalszy)

Z. MORAWSKA.

zorci boją się dymu, nie przyjdą!

A biorąc głownie, rzucała je w stronę południowo-zachodnią, z której spodziewała się przybycia nieprzyjaciół.

Tym sposobem rozniecała pożar w miejscach jeszcze nim nie objętych.

Omyliła się jednak.

Napoleon rozkazał:

— Na Moskwę!

A posłuszne wojska wlokły się do płonącego miasta.

Armia jego, jakkolwiek przerzedzona, była jeszcze olbrzymia. Zajmowała rzeczywiście blisko trzy mile wzdłuż a do dwóch na szerokość.

Niezliczona ilość wozów, częścią już opróżnionych, zajęła również przestrzeń nie małą.

Szeregi armat stanowiły imponujący widok.

Pod ich ciężarem jęczała ziemia.

Tupot miarowy tylu setek tysięcy koni i ludzi szerokim jękiem napełniał przestworze.

Lud okoliczny krył się nietylko przed rabunkiem, lecz i przed temi odgłosami, które jak nadciągająca burza, hukiem i jękiem groziły.

Nie tylko ludzie, lecz i zwierz z wyciem najokropniejszem krył się w norach i legowiskach.

Ptaki w zawrotnych kręgach ulatywały ku górze, lub z wielkiego lęku padały, zaścielając wątłem swem ciałem drogę przed idącymi.

Ten leżący czarny szmat skrzydlatej rzeszy, przerażał groźnych wojowników Napoleona.

W innym czasie byliby uczynili sobie z ptactwa ucztę, teraz nikt go nie dotknął.

Armia nie szła drogą prostą, lecz w miarę jak paląca się Moskwa coraz więcej rozlewała płomieni, okrążano przy zbliżaniu się miasto, wchodząc od strony przedmieść: Twerskiego, Kałuskiego, Kitajgrodzkiego, oraz przez starożytny, nie dotknięty ogniem, Kremlin.

Wreszcie armia Napoleona dnia 14 września 1812 roku, weszła do palącego się miasta, z którego Kutuzow ze swymi przerzedzonymi szeregami, podczas ostatniej bitwy w lasku pod Możajskiem, wyprowadził wojsko.

Tylko książę Józef Poniatowski rozłożył się o milę od miasta, na drodze do Tuły.

— Nie wolno wchodzić do miasta i zajmować się rabunkiem! — wydał najsurowszy rozkaz.

I rozkaz ukochanego wodza ściśle był przestrzegany.

Moskwa, w której zgorzało 7,000 domów, stojąca w zgliszczach, oddana była wojskom Napoleona.

Władca wybrał sobie mieszkanie w letnim pałacu cesarzów rosyjskich. Wkrótce wszakże kazał sobie szukać siedziby na Kremlinie.

Polecenie to wydał jenerał adjutantowi Chłapowskiemu.

XI.

DZIWNE GŁOSY.

Pałac księcia Łabanowa na Pietrowskim zaułku w Kremlinie był nadzwyczaj obszerny i zaopatrzony tak, jakby wczoraj dopiero mieszkańcy, przyzwyczajeni do wygodnego życia, opuścili jego komnaty.

Moskwa po sześciodniowym pożarze leżała w gruzach; tutaj nie było ani śladu zniszczenia.

Jeno dym się tułał, roznosząc nieprzyjemną woń spalenizny.

Chłapowski wybrał pałac ten na siedzibę dla Napoleona.

Nikt mu nie wzbraniał.

Kilku służących francuzów, lub niemców, pozostawionych w oficynach z wielką usłużnością i uniżeniem otwierali pokoje.

Jeden z nich, niemiec, odezwał się złą francuzczyzną:

— Gdyby był sam książę, nie pożałowałby swego pałacu dla najjaśniejszego zwycięscy!

Przypatrywał się też uważnie Chłapowskiemu, zginając się w ukłonach.

Młody jenerał nie zwracał na to uwagi.

Wreszcie usłużny niemiec, wskazując ogromne szklane drzwi wychodzące na taras, gdzie ostatnie kwiaty jesieni w całym blasku zachodzącego słońca nęciły oko, mówił, dobierając wyrazów.

— Najjaśniejszy pan raczy zwrócić wzrok na wspaniałe dzieci Flory sprowadzone z dalekich krajów dla upiększenia tej uroczej siedziby.

Dwaj oficerowie, towarzyszący Chłapowskiemu, uśmiechnęli się, spoglądając nań porozumiewająco, pojęli bowiem doskonale, że niemiec bierze go za Napoleona. Chłapowski uśmiechnął

się również i chciał go wyprowadzić z błędu. Nagle błysnęła mu myśl:

— Niech sobie, możeby mi nie oddali tak chętnie pałacu, gdybym im powiedział, że jestem tylko adjutantem.

— Dobrze! — rzucił adjutant.

Dwaj oficerowie francuzi o mało nie parsknęli śmiechem.

Zachowali jednak poważne miny, a nawet dopomogli do mistyfikacyi, oddając rzekomemu

A biorąc głownie, rzucała je w stronę południowo-zachodnią.

Zapytał więc tylko: — Są jakie zapasy?

— A jakże! Książę nasz prowadził dom bardzo otwarty, dużo bywało gości, nigdy nikomu niczego nie brakowało — odrzekł niemiec z pewną chełpliwością.

Widząc, że Chłapowski się zamyślił, zapytał:

— Czy najjaśniejszy pan zechce się osobiście przekonać?

władcy coraz większe honory.

Niemiec tymczasem szedł, wskazując drogę i dziwił się w duchu:

— Taki wielki zwycięzca, cesarz, sam we wszystko wgląda... No... no...

Prowadząc ich, otwierał rozmaite składy, nie tylko pożywienia, jak: wędzonych szynek dzika, różnych boków wieprzowych, jeleni, ryb, fasek

solonego mięsa, oraz ryżu, herbaty, kawy, wykwintnych suszonych i smażonych owoców, ale i drogocennych futer, rozmaitego ze wschodnim przepychem nagromadzonego przyodziewku. Nareszcie, wyszedłszy z pałacu, wskazał w zabudowaniach składy owsa i innego zboża.

Nie szczędził przytem niskich ukłonów, zerkając ciągle na rzekomego Napoleona.

Chłapowski, zabawiony tą mimowolną komedyą, odzywał się bardzo mało, rzucając od czasu do czasu jakieś słówko z iście cesarską powagą.

Gdy wyszedł, rzekł do kilku żołnierzy, stojących na podwórzu z podoficerem Olszakiem:

— Rozlokujemy się tutaj!

Po opuszczeniu podwórca śmiechom i żartom z przybocznymi oficerami nie było końca.

— Najjaśniejszy cesarz Napoleon nie wielką ma świtę! — rzekł po rosyjsku tenże sam niemiec, zwracając się do Olszaka.

— Ale sam wielki — odrzekł tenże również łamanym polsko-rosyjskim językiem.

I wyprostował się dumnie.

Niemiec pokręcił głową i poszedł w swoją stronę, układając jakby sobie zaskarbić łaski tak potężnego władcy.

Na drugi dzień przybył Napoloen z bardzo liczną świtą.

W otoczeniu jego, prócz marszałka Neya, Davousta, Léfebra i innych dygnitarzy wojskowych i cywilnych, był również i adjutant Chłapowski, który wskazywał przygotowane dla władcy mieszkanie.

Niemiec szukał tego, który wczoraj oglądał mieszkanie. Widząc zaś, że ten stoi na uboczu, spostrzegł swoją omyłkę. O mało nie zemdlał. Lecz podziw jego wzrósł jeszcze więcej, gdy ujrzał dość niepozornego człowieka, odzianego w szary płaszcz, z pod którego wyglądał bardzo zniszczony surdut. Na głowie miał charakterystyczny kapelusz. Szedł naprzód, inni za nim. Obawiał się, żeby znów nie popełnić omyłki, stał więc wyprostowany i mniej był skłonny do zginania się w ukłonach.

Spoglądał tylko na otoczenie niepozornego jegomościa, do którego wszyscy odzywali się, jako do władcy.

W tej chwili byłby zmiażdżył owego jenerała, przed którym wczoraj tak się uniżał.

Najjaśniejszy pan raczy zwrócić wzrok na wspaniałe dzieci Flory.

Pomyślał też sobie:

— Już ja znajdę sposób, żeby mu za to zapłacić.

Napoleon, nie odzywając się, nie zwracając uwagi na nikogo, zajął cztery pokoje. Marszałkowie zaś resztę pałacu ze swoim obozem.

Władca najwidoczniej był bardzo znużony.

Gdy został sam, rzucił się na sofę, nie zdejmując płaszcza; chwilę tak pozostał, potem zawołał:

— Monsieur Chłapowski!

Ten zjawił się natychmiast.

— Odejdziesz ze swoim pułkiem; przy mnie zostanie tylko 25 ludzi.

Adjutant skłonił się i uczynił ruch do odwrotu.

— Mieć na wszystko oko, zdawać mi raport codziennie — dorzucił władca i odwrócił się na drugą stronę.

— Żeby cię czort wziął! — zaklął niemiec, ujrzawszy przechodzącego adjutanta.

Wyprostował się i nawet głową mu nie kiwnął.

Potem wszakże pomyślał:

— Źlem zrobił; trzeba było z nim wejść w rozmowę, pewnie jakiś ulubieniec Napoleona.

Chłapowski tymczasem. przeszedłszy ulicę Twerską, dziwnym zrządzeniem losu znalazł kwaterę także w domu księcia Łabanowa.

I tutaj pełno było wszystkiego. Dom otaczały wielkie sady obciążone dojrzałym owocem, ogrody warzywne nęciły niewykopanemi, dorodnemi jarzynami. Woń jesienna, woń nasion, owoców, mieszała się z gzyzącym dymem.

Chłapowski, rozejrzawszy się, rzekł do swoich żołnierzy:

— Jarzyn i owoców używać nie tylko dla mnie i mego otoczenia, ale i dla siebie; konie mają obrok. Rabunku surowo zabraniam.

Nie trzeba było powtarzać rozkazu co do jarzyn i owoców. Żołnierze sprawili sobie z nich zaraz ucztę. Wzbronienie rabunku bardzo wielu się nie podobało. Francuzi bowiem, westfalczycy i w ogóle żołnierze cudzoziemscy, a nawet i oficerowie wyższej rangi, rabowali, co tylko gdzie znaleść mogli.

Polacy więc czuli się pokrzywdzeni, ale subordynacya wojskowa nie pozwalała złamać nakazu.

Pewnego dnia któryś z pułku rzekł:

— Jakaś wiedźma słania się wciąż koło naszej siedziby.

— Byleby tylko nie podpaliła, boć to mówią, że Moskwa zgorzała z przyczyny jakiejś czarownicy, co rzucała żagwie i podpalała domy! — ozwał się Olszak.

I przyszła mu na myśl Datasza.

— E, to nie wiedźma, jeno wcale dorodna dziewka! — odezwał się Barnaba, zaprzyjaźniony z młodym podoficerem.

— Widziałeś ją? — spytał tenże.

— Jak was teraz! Wysoka, tęga i rozrośnięta; doskonały był by z niej dragon. Okryta czerwoną, wielką chustką, kraciastą ma spódnicę...

Gdy został sam, rzucił się na sofę, nie zdejmując płaszcza.

— A włosy jakie? — spytał Olszak, chcąc się upewnić w swych domysłach.

— Włosy? — spytał Barnaba.

I zamyślił się.

— Włosów nie dostrzegłem, wiem tylko, że na głowie miała wysoką, złocistą czapę, niby koronę, ot taką, jak tutaj kobiety noszą, tylko bardzo bogatą, a szyję obwieszoną jakiemiś świecidłami, czy paciorkami, prawie aż do pasa.

— O, o, patrzcie, mignęło coś za ogrodzeniem! — zawołał któryś z żołnierzy.

Wszyscy spojrzeli w stronę wskazaną.

Przemknął ktoś rzeczywiście. Zaruszały się krzaki. Barnaba wdarł się na dość wysoki parkan, inni przeszukali zarośla, nic nie znaleziono.

— Trzeba nam się mieć na ostrożności — odezwał się Olszak—żeby nam to licho nie narobiło jakiegoś bigosu.

— Ej, zdałby się bigos! — zawołał któryś.

— To i zrobimy! Albo to nie ma z czego?— odezwał się Marcin, kucharz z zawodu, podnosząc wielką głowę kapusty.

— Słoniny też i wszelkiego mięsiwa, albo i ryby suszonej nie brak po sklepach! — ozwał się inny.

— Ale jenerał rabować zakazał! — wtrącił Olszak.

— Któż mówi o rabunku? kupimy! — rzekł butnie Marcin.

— A jak nagotuję bigosu, to nietylko nasz jenerał, ale bodaj i sam cesarz da mu buzi! — dodał z pewną pychą.

— No, dalej składka na mięso! — zawołał Olszak, wyjmując rubla.

Każdy z żołnierzy dorzucał pieniądz, bo każdy miał grosiwo.

Podczas walki z kozakami obłowili się, gdy któremu udało się szczęśliwie jeźdźca zsadzić z siodła. Nie było wzbronione zabieranie łupu, a nie było też ani jednego kozaka, co by nie miał dobrze wypchanego trzosa pieniędzmi zrabowanemi na zabitych z szeregów Napoleońskich.

D. c. n.

Odkrycie bieguna południowego.

I.

Szósta część świata.

Wszyscy żeglarze, którzy mieli odwagę, poczynając od wielkiego żeglarza Cooka (czytaj Kuka), aż do najnowszych badaczy, zapuścić się na Ocean Południowy, zgadzają się na jedno, że tamtejsze lodowce są olbrzymie w porównaniu z lodowcami bieguna północnego.

sokości, to jest, że dochodziły wysokości naszych gór Świętokrzyskich, położonych na poziomie morza.

Jeden z żeglarzy widział nawet prawdziwą wyspę lodową, która ciągnęła się na 5 kilometrów, wznosiła się zaś na 550 metrów nad powierzchnię oceanu.

W latach 1854 i 1856 kilkanaście okrętów napotkało ścianę lodową, prostopadle sterczącą

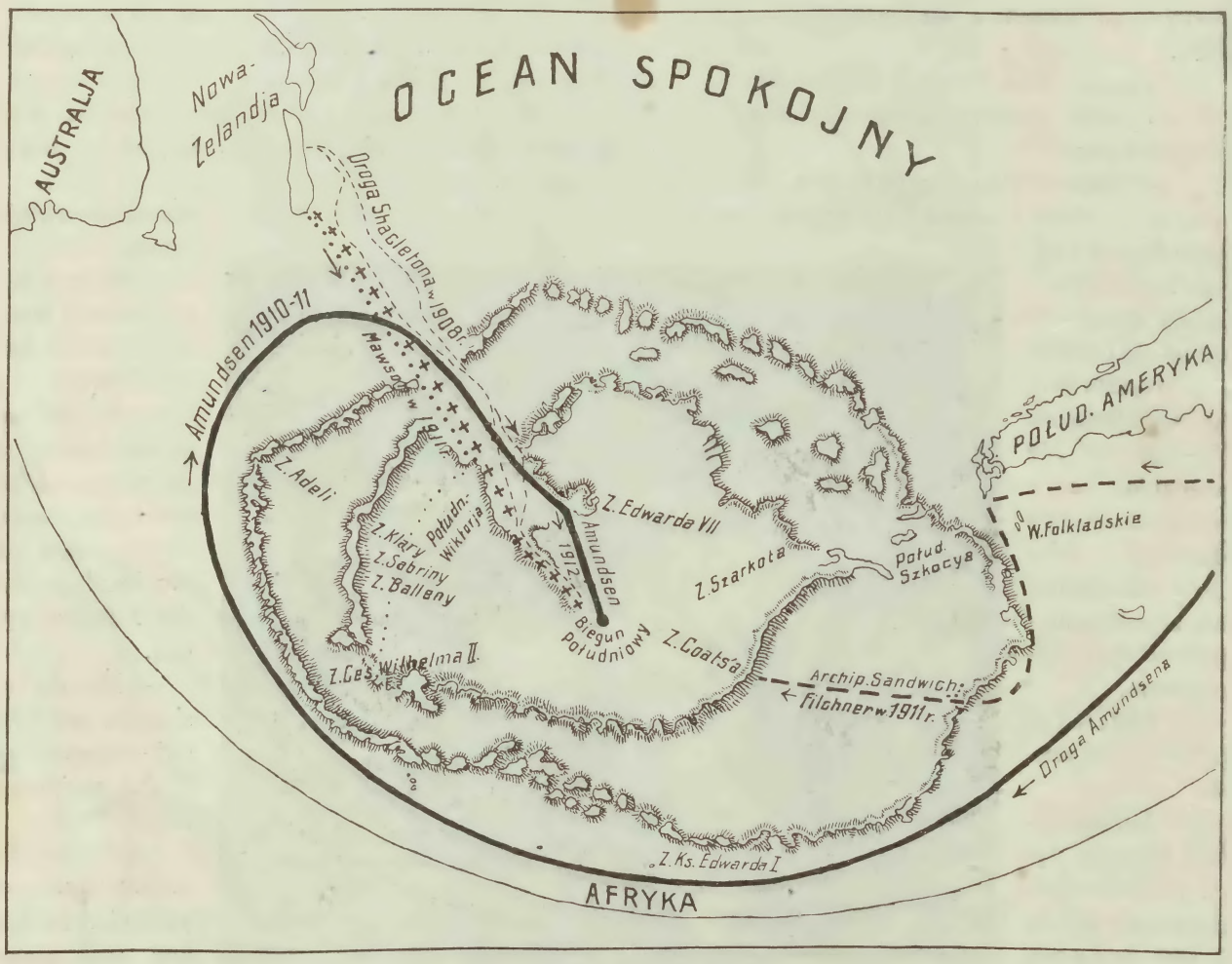

MAPA BIEGUNA POŁUDNIOWEGO.

Ławice i pola lodowe są tam cokolwiek tylko grubsze, to prawda; ale za to góry lodowe sięgają niesłychanej wysokości i objętości.

Zwykle miewają 60 do 75 metrów wysokości i 150 do 600 metrów szerokości. Jest to bardzo wiele, jeżeli zważymy, że góry te zanurzają się ośm razy głębiej. Ale między tymi olbrzymami zdarzają się nadolbrzymy. Widziano bowiem takie, które mierzyły 140 do 600 metrów wyz otchłani morskich. Jak się okazało następnie, była to rozległa wyspa lodowa, mająca 100 kilom. długości, 64 szerokości i 100 metrów wysokości.

Wiemy już, że góry lodowe składają się z lodu słodkiego, i że pochodzenie ich jest lądowe. To upoważniało nas do przypuszczenia, że dokoła bieguna południowego leży obszerny ląd, stromo wznoszący się z morza, po którym spływają do wody potężne lodowce.

Wiemy, dzięki Nansenowi, o istnieniu rozległego morza północnego. Z drugiej strony geografowie oddawna spostrzegli, że naprzeciwko lądu stałego po drugiej stronie kuli ziemskiej w dziewiętnastu wypadkach na dwadzieścia, znajduje się morze. Nie byłoby to pewnie dziwnem, gdyby wody było tyleż na ziemi co lądu, ale jest jej dwa i pół raza więcej. Trzeba zatem przypuszczać, że naprzeciw każdego zagłębienia na powierzchni kuli ziemskiej znajduje się wyniosłość — ląd.

Że ląd południowy istnieje naprawdę, można także domyśleć się stąd, że na dnie oceanu znajduje się dużo odłamów granitu, i innych skał zaniesionych daleko od bieguna przez góry lodowe.

Ów tajemniczy ląd otoczony jest wiankiem gór, zionących ogień i lawę rozpaloną. Cło za dziwactwo natury! Wulkany wśród wiecznych lodów, ogień i śnieg, dwa przeciwieństwa! Wulkany te znajdują się na ziemi Wiktoryi, położonej naprzeciw wyspy N. Zelandyi i w innych punktach.

Wnętrze siedziby zimowej Anundsena.

Kto odkrywał te liczne ziemie? Jedna z ostatnich wypraw do bieguna południowego, na statku „Belgica", zasługuje na naszą uwagę, choćby dla tego, że brali w niej udział dwaj polacy.

Wspomniany już przez nas kapitan Cook, pierwszy wtargnął do głębi podbiegunowej krainy południowej. Opłynął on dookoła szóstą część świata i pierwszy dosięgnął południowego koła biegunowego. *)

Bardzo daleko zapuścił się także kapitan Ross. Odkrył on ziemię Wiktoryi, a na niej dwa wysokie, ziejące ogniem i lawą wulkany, wznoszące się na trzy tysiące i paręset metrów każdy. Nazwał je Erebus i Terror. Ross posunął się także bardzo daleko na południe, ale cofnąć się musiał jak i jego poprzednicy, przed wysokim wałem lodowym. Było to w 1840 roku.

Pierwszy statek parowy pojawił się na Oceanie Południowym dopiero 1873 r., pod wodzą Dalmanna, niemca. Przez dłuższy czas zapanowała cisza, aż dopiero w ostatnich czasach przypuszczono szereg szturmów do bieguna południowego. W 1898 roku wyprawa belgijska, w której znajdowali się dwaj polacy: Arctowski i Dobrowolski, pierwsza przepędza zimę w tamtych stronach, oddając się badaniom ziem położonych na południe od amerykańskiego lądu.

Najważniejsze jednak zdobycze osiągnęła wyprawa angielsko-norweska Borkgrevinka w latach 1898 do 1900. Jest to pierwszy człowiek, który postawił nogę na stałym lądzie południowym w 1895 roku. W roku 1898 wyjechał on znów i szczęśliwie przedostał się przez wał lodowy; w 1899 roku odważny ten badacz, dotarłszy do szóstej części świata, odesłał swój okręt do Europy, sam zaś, w towarzystwie 10 ludzi, spędził pierwszy od początku świata, zimę na stałym lądzie południowym.

W roku 1900 Borckgreving odbył wielką podróż w głąb lądu i wzdłuż jego wybrzeży, przebywszy z saniami, ciągnionemi przez psy, przestrzeń tysiąca paruset klm. Udało mu się wedrzeć na wał lodowy, tamujący dostęp do tajemniczego lądu i dosięgnąć odkrytych przez Rossa czynnych wulkanów Erebusa i Terrora na ziemi Wiktoryi. Podróżnik ten dotarł saniami, przy pomocy dwóch lapończyków zabranych z Europy, najdalej na południe z pomiędzy wszystkich swoich poprzedników, bo aż do 78 stopnia 50 minut szerokości południowej to jest 1230 klm. od bieguna.

W 1901 r. zorganizowano pod zwierzchnictwem prof. Neumeuer'a z Hamburga wyprawę, w której wzięli udział prof. Drygalski — niemiec, Scott — anglik i Nordenskjöld — szwed.

Scottowi udało się dotrzeć po za 82°, na połud. od Z. Wiktoryi.

D. c. n.

*) Koło biegunowe znajduje się w odległości 23 i pół stopni od bieguna. Są dwa koła biegunowe, północne i południowe. W środku zimy 22 grudnia w obrębie koła biegunowego południowego — ciągły dzień. Latem zaś, 22 czerwca, jest odwrotnie: koło biegunowe północne ma ciągły dzień, południowe zaś tonie w ciemnościach nocy. Od równika do kół biegunowych liczymy 66 i pół stopni. Całkowity zaś okrąg ziemski dzieli się jak każde koło na 360 stopni.

Poeta cierpienia i miłości.

O Zygmuncie Krasińskim mówić wam, czytelnicy moi, trudne to i wielką na mnie odpowiedzialność wkładające zadanie. Wiem, że nie jeden i niejedna z was zna już dzieła poety, ale wiem również, że wiele trzeba pracować, długo żyć i cierpieć, by je dokładnie zrozumieć. Wy zaś jesteście tak młodzi! Jakże tłomaczyć wam powody cierpienia ludzi niezwykłych, jak przedstawić treść poematów, w których krystalizuje się — w szacie poezyi — głęboka myśl filozoficzna, jak wyjaśnić dostatecznie, co to jest czyn poety?

Gdyby można było scena po scenie, słowo po słowie przejść z wami każdy utwór Krasińskiego, to może doszlibyśmy do sądu zrozumiałego i jasnego, ale szkic mój ma być krótki. Gdybyśmy się spotkali za lat jakieś dziesięć, gdy już będziecie rozporządzali większym zapasem wiadomości i większem doświadczeniem życia, to we wspólnej rozmowie udzielić byśmy sobie mogli nawzajem naszych spostrzeżeń o twórczości Krasińskiego; ale kiedy dziś, teraz mówić wam o nim trzeba! Po głębokim namyśle postanowiłam sobie, że o wypadkach kolejnych życia Krasińskiego będę mówiła niewiele, treść dzieł jego nie będę szczegółowo opowiadała, postaram się zaś o to, by wam jednak przedstawić, na czem zasadza się wielkość duszy i doniosłość poezyi naszego wieszcza narodowego.

„Wśród zamętu wznoszę pieśń, która mi gwałtem z duszy się wyrywa“ powiada Krasiński we wstępie do „Irydiona“. Słowa te odnoszą się wprawdzie do obrazu ginącego świata rzymskiego, ale malują także doskonale życie wewnętrzne poety. Trzeba tylko rozczytać się w jego listach. Krasiński pisywał mnóstwo listów do ojca i do przyjaciół, których miał w życiu zawsze, bo potrzebował oparcia, a potrafił cenić i kochać wybranych, jak nikt inny. Listy do nich wysyłane były potrzebą jego duszy i polem do szczerych wyznań o sobie. A te wyznania czemże są? Oto przedewszystkiem jednem świadectwem nieustającego cierpienia. Poeta męczy się najpierw fizycznie, bo od 18-go roku życia choruje ciągle i ciężko; są chwile, kiedy grozi mu zupełna ślepota i musi całe tygodnie przepędzać w ciemnym pokoju, trawiony myślami, które rozsadzają mu czaszkę i targany tysiącem uczuć, olbrzymiejących w odosobnieniu od świata. „Napół ślepy jestem i oczy mnie piekielnie bolą“..: „Ze szczętem mi źle jest fizycznie i moralnie“... „ciągle bieduję i choruję“... nie wiem co ze mną będzie, oczy zagrożone ślepotą, całe ciało roztrojone“... takie narzekania znajdują się w każdym niemal liście i aż do końca życia. Poeta jest pod nieustanną opieką lekarzy, ciągle zmieniać musi miejsca kuracyjne i sposoby leczenia, To sprawia, że usposobienie jego i tak z natury niewesołe, staje się chwilami wprost rozpaczliwem: gardzi sobą, wyśmiewa gorzko siebie samego, widząc jak najszczytniejsze wysiłki ducha bywają niweczone przez słabość cielesną. Do tych dokuczliwych cierpień fizycznych dołączają się stokroć sroższe cierpienia duszy. Ludzie niezwykle utalentowani niezwykle są też na ból i smutek wrażliwi. Pomijając już, że do osobistego szczęścia trzeba im bardzo wiele i to, czem inni zadowolnią się zupełnie, dla nich jest niczem, bo oni pragną więcej, niż życie zazwyczaj dać może, pomijając więc szczęście osobiste, ludziom takim nie daje spokoju myśl o przeznaczeniu świata i doli całej ludzkości. A gdy się w tę myśl zagłębią, muszą znaleźć w niej cierpienie. Krasiński nigdy nie był szczęśliwym osobiście z ludźmi, których kochał bez miary, rozłączało go życie; drobne radości i zadowolenia dla niego nie istniały, sławę poświęcił ojczyznie.

Od dzieciństwa był zamyślony i smutny. W dzieciństwie jednak i pierwszej młodości smutek ten płynął głównie z wyobraźni. Krasiński kochał, nienawidził i rozpaczał w świecie przez siebie samego stworzonym z atmosfery wspomnień bohaterskich, jaka go od kolebki otaczała, z porywów rycerskich, podsycanych rozmowami z ojcem, z książek, czytywanych namiętnie i bez miary. Potem przyszło ciężkie przejście uniwersyteckie— preludyum jakby do bólu prawdziwego, a potem— uderzył grom w rozpaloną głowę i bijące młodzieńcze serce poety: powstanie listopadowe, w którem udziału wziąć nie mógł! Od tej chwili nie ustają już męki duchowe, chwila ta bowiem stanowi o dojrzałości poety. Z dziecka czyni męża, przez myśl o ojczyźnie prowadzi do myśli o ludzkości, przez ból patryotyczny pokazuje ból wszystkiego, co ludzkie.

Krasiński spostrzega, że między jego pożądaniami, a tem co wykonać może, jest przepaść bez dna. Warunki życia tak mu się piętrzą tragicznie, że jeśli zadość uczyni jednej miłości, to odepchnąć musi drugą: jeśli nie chce zabijać moralnie ukochanego ojca, to musi wyrzec się obowiązku polaka, a choć poświęca się sprawie polskiej w zupełności, oddając jej w służbę natchnio-

ne swoje pióro, to nikt prawie o tem nic nie wie i wielu potępia go za niedopełnienie tamtego obowiązku — miecza.

„Ja wiem“ pisze Krasiński do Henryka Recwa, jednego ze swych przyjaciół, w maju 1831 r., że mój ratunek jest w wyjeździe; jeżeli nie wyjadę jestem zgubiony. Ale słuchaj, czyś się zastanowił nad tem, co piszesz? Czy ja mam dorzucić jeden kamień więcej do tych, którymi kamienują mojego ojca? Czy mam tak zrobić, żeby po gazetach chwalono mnie, a jego obrzucano infamią? Ja wiem, przyznaję tobie jednemu na świecie, zresztą nikomu, że mój ojciec zbłądził strasznie, okropnie. Ale ja nie mogę pociągać go do odpowiedzialności. Wiem: Polska będzie wolna i wielka, ja będę nieszczęsny i wzgardzony. Zmierzyłem moją przyszłość spokojnie, trzeźwo, zadrżałem przed nią, ale ją przyjąłem. Poświęcenie jest wielkie. Nie będzie głośnem ani znanem na ziemi, ale będzie dosłyszanem w niebie, u stóp Syna Człowieczego. Czekam tu w Genewie, na odpowiedź ojca. Jeżeli będzie dobra, wyjadę natychmiast. Jeżeli będzie inna jak pragnę, to wyjadę także, bo mój obowiązek względem ojca będzie choć w części spełniony. Mów o mnie, co ci się podoba, mów, że nie mam energii, że jestem słaby, chwiejny, że umień gadać, a nie umiem działać. Dobrze! Sprobuj być tak nieszczęśliwym jak ja, a potem mnie sądź! A Konstantemu Gaszyńskiemu w rok po upadku powstania w liście z 9 marca 1832 r. tak stan swój opisuje:

„Gorzkie przetrwałem chwile... Ten cały czas przeszalałem, przebolałem, przechorowałem. Wszystkich sposobów używałem, by dostać się do was, ale silniejsze nad moje ramiona zapory drogę mi zajęły; musiałem słuchać o waszych bojach i siedzieć na miejscu. Zaprawdę ci powiadam, że mi dnie i nocy na gorączce z początku później na szaleństwie zeszły. Wycierpiałem za winy wszystkich przodków moich“.

W dodatku jeszcze Krasiński zdaje sobie doskonale sprawę, że brak mu dość silnej woli, by walczyć z życiem codziennem. Czuje się zdolnym i powołanym do rzeczy wielkich, ale o drobne a dokuczliwe fakty dnia każdego kaleczy sobie skrzydła. „Cała moja energia rozbija się czasem o przeciwności, którym zaradzić nie mogę i drobnostkowe okoliczności. I większe wypadki biją na mnie jak kruki Dziadów. Przebolałą mam duszę, choć dopierom dwadzieścia lat na tej ziemi przebył“. Nie trzeba dziwić się ani gorszyć tą pozorną, tą ludzką słabością poety, zobaczymy go zaraz silnego. „I większe wypadki biją na mnie“ powiada Krasiński. A w innem miejscu (do Gaszyńskiego): „Wieku mojego nie cierpię, a jednak wszystko we mnie zgodne z wiekiem, w którym żyję; te same rozhukane żądze i niemożność ta sama, te same półwiary i półbłyski rozumu i ta sama nuda ogromna, straszna, piekielna, zimna jak lód, pożerająca jak ogień“.

Czasy w jakich Krasiński to pisał były istotnie dla ludzi takich jak on ciężkie do przebycia.

Nieprzebrzmiałe jeszcze hasła wielkiej rewolucyi francuskiej, burzące dawny porządek, wzrastająca przewaga stanu mieszczańskiego, hołdującego przedewszystkiem bogactwu i wygodzie życia, socyalistyczna nauka St. Simonistów, pojmowana opacznie przez tłumy, wprawiały społeczeństwo Europy w stan gorączkowy; rosła nienawiść klas, wszystko co dawne podlegało ostrej krytyce, a nic nowego, lepszego nie zdawało się zapowiadać. Krasiński, uzdolniony zarówno do nauk ścisłych jak i do poezyi, podwójnie rzec można wchłaniał wrażenia. W studjach filozoficznych, prawnych, ekonomicznych i politycznych, w bystrem ocenianiu wydarzeń życia współczesnego zdobywał materyał do rozmyślań naukowych nad historyą ludzkości; w krainach fantazyi, gdzie go wiódł geniusz poetycki spostrzegał prawdę nie tak nagą i gorzką jak w życiu i wcielał ją w swoje utwory. Wysoko, ponad wszystkiem czuł zawsze piękno i dobro, ale szedł ku nim przez ciężkie trudy i cierpienie. W sprawach bowiem ogólno ludzkich widział, że to, za czem się ludzie ubiegają, za co mordują się wzajemnie i giną tłumami, nie zawsze jest godnem ich wysiłków, że natomiast o skarby wieczne, o miłość i piękno w każdem działaniu dba tak znikoma tylko garstka wybranych!

Gdy zaś zwrócił myśl do kraju, do ojczyzny, to cóż przedewszystkiem stawało mu przed oczy? Tryumf siły brutalnej, niesprawiedliwości, beznadziejność położenia, straszne, fatalne skutki, jakie niewola i nędza sprowadzić musi na dusze ludzi. Powstanie, zakończone upadkiem, lata najbliższe po powstaniu, gdy ucisk doszedł zenitu, rok potem 1848 gdy najczystsze, najświętsze usiłowania takich ludzi jak Szymon Konarski, widzących w ludzie polskim zbawienie i nadzieje zatonęły w potokach krwi i pożodze rzezi galicyjskiej — to wszystko były ciosy, które Krasiński przebolał sercem a przeczuł jasnowidzącym swym umysłem.

D. c. n. *M. Znatowiczówna.*

„SŁOMKA W NOSIE“

ZE SZKOLNYCH CZASÓW NAPOLEONA.

Wiadomo jest, że wszyscy chłopcy w szkole muszą mieć jakieś przezwiska; bywają one mniej więcej trafne a najczęściej dość uszczypliwe, gdyż koledzy starają się uwydatnić w tej nazwie jakiś rys charakterystyczny odnośnie do usposobienia lub powierzchowności nowego towarzysza.

Otóż, czy odgadniecie, kto z najznakomitszych w dziejach postaci nosił śmieszne przezwisko: „Słomki w nosie?... Ni mniej ni więcej, tylko późniejszy cesarz—Napoleon Bonaparte!

W dziecięcych latach był to chłopak nader ruchliwego, żywego i niespokojnego usposobienia. Nad starszym bratem swym Józefem wielką miał przewagę; w częstych sporach o byle drobnostkę Napoleon wytaczał wnet sprawę przed matką, której był ulubieńcem i zawsze Józef był sfukany, gdyż Napoleon umiał się usprawiedliwić, nie dając nawet bratu przyjść do słowa.

Kiedy dostał się wreszcie do szkoły wojskowej w Brienne, Napoleon zmienił się do niepoznania. Ambitny młodzieniaszek zapragnął prześcignąć wszystkich kolegów i zaskarbić sobie względy przełożonych. Stał się pilnym, spokojnym, łagodnym nawet, choć wrodzoną porywczość przychodziło mu hamować z trudem.

Koledzy, nie mogąc jakoś dopatrzeć żadnej cechy szczególniejszej w swym towarzyszu, podchwycili jego sposób wymawiania, nieco odmienny, według dyalektu korsykańskiego, zmiękczającego wielce wyrazy.

—*Nepoljone!... Nepoljone!...* — przekomarzali się—słuchaj mały, a może masz słomkę w nosie?

Dowcip ten przyjęto głośnym śmiechem.

— Słomka w nosie!... Brawo!... Nepoljone, Słomka w nosie! Ależ to doskonałe przezwisko dla tego korsykanina. Tam wszyscy oni mają słomki w nosie!

Napoleon poczerwieniał, potem zbladł, krew uderzyła mu do głowy. Gotów był już wymierzyć doraźną karę śmiałkowi, który pozwala sobie szydzić z jego miejsc rodzinnych; zawrzała w nim obrażona ambicya, zapomniał na chwilę o postanowieniu trzymania swej gwałtowności na wodzy i piorunującym wzrokiem patrzał w iskrzące się szyderczą wesołością oczy swych współtowarzyszy.

— Nepoljone się sroży! Ho! ho! Co to będzie jak się rozgniewa? — zachichotał ktoś zdala.

— Zobaczycie jeszcze kiedyś, co korsykanin potrafi! — rzucił przez zaciśnięte zęby Napoleon, wygrażając pięścią.

Gdyby tak była sprawa z Józefem, poczęstowałby go niewątpliwie porządnie, a nawet po dawnemu ugryzłby może i skopał; ale w szkole wojskowej był wielki rygor, a młodzieniec nie chciałby za żadne skarby przez jakąś marną awanturę narazić się na złe stopnie.

Wszak wszyscy zresztą koledzy mieli jakieś przezwiska; niech więc będzie i „słomka w nosie“, nie lepsze to, ale i nie gorsze jak: „kalafior“, „ślimak“, „kuropatwa“. Indyanie mają też zawsze jakieś dziwne, złożone z paru słów nazwy. Pocieszał się chłopak jak mógł, starając się okazać obojętnym na przezwisko, aby tą swoją obojętnością zaimponować tym, którzy mu chcieli dokuczyć.

— *Paille au nez! Paille au nez!* — wołali nieraz w ślad za nim koledzy, on zaś wzruszał ramionami pogardliwie, starając się wszelako wymawiać teraz wyraźniej i dobitniej każde słowo, aby go dyalektem korsykańskim nigdy nie prześladowano.

Pewnego dnia Napoleonowi za okazane zuchwalstwo wyznaczono wielce upokarzającą karę. Oto miał spożywać obiad na klęczkach u drzwi sali jadalnej. Napoleon wolałby się zapaść pod ziemię, niż pozostawać tak, na oczach wszystkich, jako pokutnik przymuszony. Nie miał on wcale ducha pokory w sobie, a był przeciwnie ambitny do najwyższego stopnia i takie publiczne upokorzenie dało mu, być może, zawczasu przedsmak tego uczucia, jakiego doznać miał jeszcze w dalekiej przyszłości, po ciężkiej porażce pod Waterloo.

Ukląkł u drzwi, ale o spożyciu czegokolwiek mowy być nie mogło, gdyż chłopak wyprężył się zaraz jak w konwulsyach i dostał silnego ataku nerwowego ze wzruszenia. Zamęt, jaki się wszczął z tego powodu, ściągnął na korytarz kilka osób, pomiędzy któremi znalazł się przypadkiem oficer sztabowy i bardzo życzliwy młodemu korsykaninowi ksiądz Patrault, wykładający matematykę i ceniący w Napoleonie jego wysokie zdolności w tym kierunku.

D. N. *Jerzy Orwicz.*

Wypadek.

Wycieczki w góry podczas pory zimowej pociągają za sobą często bardzo smutne następstwa. Roku zeszłego zginął, przedwcześnie dla sztuki i rodziny, znakomity muzyk-kompozytor, Karłowicz, zasypany śnieżną lawiną, a po nim dzielny przewodnik poniósl śmierć w przepaściach śnieżnych przy odszukiwaniu śladów młodzieńca, obecnie zaś, na szczycie Alp styryjskich Schneebergu , zdarzyła się podobna tamtej katastrofa. Grono narciarzy, w liczbie 45 osób, wyruszyło z Wiednia z d-r Hackerem na czele, chcąc dotrzeć do pewnej wysokości górskiej. Na nieszczęście swoje, od uczestników wyprawy odłączyła się gromadka, z dwunastu turystów złożona, którzy bez względu na gęstą mgłę, udali się do schroniska pod Schneebergiem. Nagle zerwał się szalony wicher, miotając tumanami śniegu. Podróżni błądzili parę godzin wśród nieprzebitych ciemności, szumu i świstu powietrza, a w końcu stoczyły się na nich lawiny puchowe a lodowate, co, jak wiadomo, równa się pogrzebaniu za życia. Jedna z pań oswobodziwszy z pod nawały głowę, zaczęła z całych sił wołać o ratunek i ocaliło ją dwóch uciekających przed burzą górali. Nazajutrz 15 żandarmów i straż ratunkowa z wielkim wysiłkiem wynaleźli zwłoki ofiar tej niebezpiecznej, karkołomnej rozrywki.

Upór niewieści.

W Bostonie toczy się zawzięta walka między paniami, zwolenniczkami sukien wąskich, a właścicielami remiz, powozów, dorożek, samochodów i tramwajów kursujących po mieście. Idzie tam o to, czy modne panie powinny „rozszerzyć swoje suknie“, czy też trzeba będzie obniżyć stopnie wszelkiego rodzaju pojazdów? P. Clarck, prezesowa jednego z klubów kobiecych, poruszyła niebo i ziemię, aby utrzymać się przy tym wybryku mody. Przeszło sto związków, które dążą do równouprawnienia z płcią męską, wydało stanowczą rezolucyę: „Kobiety mają prawo ubierać się według swego gustu i nie będą go zmieniały dla tego, że stopnie u powozów są za wysokie. Niechaj pamiętają o tem ci, co z podobnem żądaniem wystąpili“! W obec energicznej postawy „bojowniczek“ o swobody, właściciele będą zapewnie zmuszeni uledz i ponieść wydatki przerobienia stopni u wszystkich środków komunikacyi miejskiej. Powiedźcież sami czytelnicy, czy wytrwałość amerykanek nie jest godna lepszej sprawy?

Piękny czyn.

Przy rozbiciu się słynnego okrętu „Ohio“ w porcie Seattle (Kolumbia), młody telegrafista nazwiskiem Eccles, zamknięty w swojej kajucie, wysyłał bez przerwy depesze, aby zwrócić uwagę dwóch parowców angielskich, które zazwyczaj przepływały w pobliżu, i pozyskać ratunek dla ginących. Istotnie, zawiadomione o niebezpieczeństwie grożącem „Ohio“, statki zdążyły na czas, i z wyjątkiem pięciu osób, wszyscy pasażerowie i załoga okrętowa zostały ocalone. Wśród ogólnego zamieszania i pośpiechu ludzi, będących wtedy między życiem a śmiercią, zapomniano o dzielnym telegrafiście, który ani na chwilę, nie odstępował swego aparatu. Kiedy stu kilkudziesięciu podróżnych przeszło na pokłady parowców, o czem może Eccles nie wiedział dokładnie, odebrano od niego ostatni telegram w paru tragicznych słowach: „Boże! ja już tonę“!... Zapóźno było myśleć o pomocy, gdyż okręt pochłonęły odmęty morskie z szybkością nadzwyczajną. Ofiara szlachetnie pojętego obowiązku, cichy bohater, którego imię utonie także w fali zapomnienia, poniósł jednocześnie duszę swą przed tron Boga!

Wielka powódź w Ameryce.

Wskutek wylewu rzeki Missisippi, runęła jedna z tam na tej rzece, w pobliżu miasta Cairo, odcinając od świata 400 ludzi. Runęło też 200 domów podmytych przez wodę, przyczem 8 ludzi straciło życie. Przeszło 14,000 osób pozbawionych jest przez powódź dachu nad głową.

Katastrofa kolejowa w Ameryce północnej. Pociąg pospieszny wpadł do rzeki, przyczem 20 osób straciło życie

Dalej zuchy raz, dwa trzy! Ani chwili czasu do stracenia! Jeśli natychmiast nie będziecie gotowi, armia nieprzyjacielska odniesie zwycięstwo. Oto stąd widzę już, jak idzie do ataku uzbrojona w karafki, dzbanki, nawet konewki z wodą. Bo broń dobrego kalibru bukieciki fijołków z ukrytą wewnątrz flaszeczką, gumowe myszki lub żabki, które napełnić miano kolońską wódką, leżą porzucone na stole. Dobre to dla wypieszczonych małych panienek, armia zuchów z piątej czy czwartej klasy nie zadowolni się dziecinną zabawką. Świadectwa szkolne przywiozła młodzież doskonałe, ale też tem większą ma ochotę do figlów, Marynia, pierwsza w klasie i na ślizgawce, najśmielsze układa plany, a rówieśnik jej Karol, nie da się pewnie wyprzedzić kuzynce, on to właśnie prowadzi do ataku gromadę chłopców, uzbrojonych w sikawki i karafki. Ale Marynia zdążyła już postawić na nogi zastęp ochotniczek, które przed chwilą drzemały jeszcze w łóżkach, śniąc o słodkich babach czy mazurkach. Piekły je same, lukrowały i stroiły barwinkiem dla braci i sąsiadów, a ci niewdzięcznicy, najadłszy się wczoraj wielkanocnych przysmaków, ukuli spisek przeciw pannom i prowadzą do ataku na wodę nietylko własną armię, lecz i zaciągniętych pod broń chłopców wiejskich.

Mogłyż nie zawrzeć zemstą serca niewielkiego pułku! Liczny on, bo Marynia pozyskała aliantki wśród dziewcząt z garderoby. Jeszcze chwila a zagrmią działa, tryśnie i poleje się obficie, ale na szczęście tylko woda nie krew, bo bitwa, którą stoczą pewnie różne gromady moich kochanych piskląt to śmigus, starosłowiański i staropolski śmigus, czyli dyngus wielkanocny.

Ma on wiele wspomnień i dla waszej Jaskółki. Teraz stary ptak siedzi spokojnie w fotelu, wyczekując, aż Zosia-Iskierka pokropi jej suknię wodą ukrytą w bukieciku fijołków. Ale przed laty, przed wielu, wielu laty, bo upłynęło ich dużo od owego czasu, umiała Jaskółka psocić, wierzajcie, i w pamięci swych rówieśników żyła długo, jako niezwyciężony pogromca figlarzy.

Dosyć jednak wspomnień z dawnej przeszłości, wolę na dzień dzisiejszy przesłać wam, drogie pisklęta, życzenia świąt jak najweselszych, świąt spędzonych w gronie rodziny, przyjaciół i domowników. Oby w żadnym polskim domu, w chatach, suterenach, czy na poddaszu, nie brakło tego roku kęsa świątecznych przysmaków dla głodnych rzesz braci rodaków.

A teraz do listów.

Pierwszy z brzegu to karta *Cyranki* z serdecznemi życzeniemi wesołych świąt dla Jaskółki; dziękuję za nie i odpowiadam dalej *Goplanie* także na kartę. *Goplana* prosi, aby redakcya przeadresowała pismo do Warszawy, lecz, pisklę drogie, nie wiem jakie jest twoje nazwisko, znam tylko pseudonim, prośby więc spełnić nie mogę.

Dziwny twój list, *Janko,* aż nieprawdopodobny, zostawiam go więc bez odpowiedzi, nie odebrałabyś jej, zresztą, przed wyjazdem do Florencyi.

Sam pseudonim, *Szarytka*, mówi już za tobą, drogie pisklę, będę też niecierpliwie wyczekiwała wiadomości, jak się powiódł egzamin siostrzyczek i czy kochana nauczycielka z niego zadowolona. Osobiście nie znałam czcigodnej twej babci, ale wielbiłam ją razem z wielu.

Bez zakwitł w gnieździe, wielka uciecha z majowego kwiatka, więc też witam cię, *Gałązko*, i proszę, darz nas często swymi liścikami.

Ślicznego kotka wymalowałaś, *Ukraińska Zawieruchę*, Zosia witała go z radością, a ja cieszę się całem sercem twymi zamiarami na przyszłość, bo piękne są i szlachetne. Dotrzymaj słowa, będziemy was z mamusią oczekiwały w czerwcu.

Nie odebrałam kopiejek, *Wiosenny Poranku,* donieś, kto je miał mi doręczyć, a może pieniądze odesłałaś do redakcyi nie do gniazda Jaskółki.

Szkoda, *Rybitwo,* że nie mogłam odczytać bardzo niewyraźnie napisanej poezyi, być może podobałyby mi się twoje wiersze; na drugi raz więc zwróć uwagę na kaligrafię, a ortografia też skandaliczna, naprzykład *duży* przez *rz* i przez *rz* także *żeby*. Otóż, *Rybitwo* kochana, popraw te błędy a potem dopiero pomówimy o przyszłości.

Miłe mi niezmiernie twoje listy, *Złote Słońce;* prawda, że nieszczęście zbliża ludzi, nas też polaków zbliżać powinna wspólna niedola, a ty jej już doznajesz, znosząc urąganie z historyi własnego narodu. Jagiełło został chrześcijaninem dopiero, żeniąc się z Jadwigą.

Zazdroszczę ci, *Marysiu z Podola,* pierwiosnków i stokroci; *Smółka różowa* zbierała już nawet fijołki, ja nie widziałam dotąd żadnego wiosennego kwiatka. Ale też radością Jaskółki są nie rośliny choćby najpiękniejsze, tylko wy, pisklęta drogie, więc tulę was wszystkich do serca i wszystkim życzę całą mocą mego przywiązania wesołych, radosnych świąt Zmartwychwstania.

Jaskółka.

Wesoły kącik.

NA LEKCYI FIZYKI.

Nauczyciel. — A teraz panienka rozumie, co nazywamy ciałem przezroczystem?

— Tak, panie profesorze, jest to ciało, przez które dokładnie zobaczyć coś można.

— Proszę mi dać na to przykład.

Panienka się trochą namyśla, ale w końcu odpowiada rezolutnie:

— Dziurka od klucza, panie profesorze.